

Helena Leblanc

Święty
~~ŚWIĘTY MIKOŁAJ~~

Helena Leblanc

Świętym
ŚWIĘTY MIKOŁAJ



Litera Inventa

Copyright ©2024 by Helena Leblanc
Copyright ©2024 by Litera Inventa
Wydanie pierwsze, 2024

Redakcja: *Klaudia Jovanovska*
Pierwsza korekta: *Joanna Krystyna Radosz*
Druga korekta: *Renata Nowak*
Skład i łamanie: *Michał Bogdański*
Projekt okładki: *Agnieszka Makowska*
Ilustracje: *Aurelia Baraniecka*
Druk i oprawa: *Elpil*
ISBN: 978-83-67355-20-9

© Wszelkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej fragmenty nie mogą być przedrukowywane ani w żaden inny sposób reprodukowane lub odczytywane w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody autora lub wydawcy.

© All rights reserved
studio_litera.inventa@outlook.com

Prolog

*Jingle bell, jingle bell, jingle bell rock
Jingle bells swing and jingle bells ring
Snowin' and blowin' up bushels of fun
Now the jingle hop has begun¹*

Nie wierzę, że już to puszczają. Przecież mamy dopiero koniec listopada! – pomyślałem zgorzony nadgorliwością centrów handlowych. Dla mnie święta zaczynały się dwudziestego czwartego grudnia wieczorem i kończyły dwudziestego szóstego. Nie było potrzeby wydłużać ich bardziej, a już na pewno nie o miesiąc wprzód. Dawno wyrosłem z prezentów i radosnego oczekiwania na Mikołaja. *Po co to komu?*

Wyszedłem ze sklepu, ale ta przeklęta piosenka przyczepiła się do mnie tak, że musiałem ją nucić potem przez cały dzień.

Głupie świąteczne piosenki! – pomstowałem na te melodie, które wżerają się w mózg tak, że nie można się od nich odpędzić. Czy kiedyś lubiłem święta? Może tak, ale to musiało być dawno temu.

1 ang. Dzwoniących dzwoneczków... rock // Dzwoniących dzwoneczków swing i brzmienie // Śnieg pada i rozdmuchuje masę zabawy // Teraz rozpoczął się taniec dzwoneczkowy, Bobby Helms, *Jingle Bell Rock*.

Trzydziestoczteroletni singiel nie ma powodów, żeby je lubić. Spędzane z rodzicami, starszą siostrą i jej mężem były dla mnie koszmarem. Na szczęście został jeszcze cały miesiąc, żeby przygotować się psychicznie do tych trzech dni męki.

*Jingle bell, jingle bell, jingle bell rock
Jingle bells chime in jingle bell time
Dancin' and prancin' in Jingle Bell Square
In the frosty air²*

Wyjdź mi wreszcie z głowy, siło nieczysta! Ile można? A najgorsze bywają takie momenty, kiedy jedną irytującą melodię zastępuje druga. I zamiast nucić Bobby'ego Helmsa, zaczyna się pisać jak Mariah Carey. O nie! Tego już za wiele! Ja w tym roku nie chcę świąt! Czy ktoś mógłby je dla mnie odwołać?

– Co tam nuczysz pod nosem, Michałku? – usłyszałem głos mamy i uznałem, że najwyższy czas ewakuować się do siebie.

– Nic takiego. Coś tam leciało w radiu. – Zignorowałem temat i uciekłem. Potrzebowałem побыć sam, w ciszy. Hałas mnie męczył, nadmiar ludzi też. Tylko w pracy mogłem być sobą. Albo w swoim pokoju.

Możecie nazwać mnie Grinchem albo Scrooge'em, ale żadne z tych określeń nie zrobi na mnie wrażenia. Przywykłem do inwektyw. Jestem prawnikiem.

2 ang. Dzwoniących dzwoneczków... rock // Dzwoniących dzwoneczków... czas // Tańce i płyś na dzwoniących dzwoneczków placu // Na mroźnym powietrzu, jak wyżej.

Rozdział I – Niechciane zaproszenie

poniedziałek, 25 listopada

– Panie mecenasie, dostał pan całą masę zaproszeń na grudzień, co mam z nimi zrobić? – spytał mój asystent i aplikant w jednym Igor Krawczyk. Zastawił mi przejście i patrzył na mnie wzrokiem spaniela, starając się tym zmusić do reakcji. *Żenujące. I ktoś taki chce być radcą prawnym?*

Od kiedy otworzyłem własną kancelarię radcy prawnego cztery lata temu, to był mój pierwszy aplikant. *I, kurde, chyba ostatni.* Nie miałem cierpliwości do uczenia kogokolwiek, nawet jeśli młody ogarniał mi papierologię. Po prostu, w pracy byłem samotnikiem i fakt obecności drugiej osoby w tym samym pomieszczeniu zwykle mi przeszkadzał. A jednak nie można wszystkiego robić samemu i pomoc była mi potrzebna, dlatego w końcu się zgodziłem.

Indywidualna praktyka miała swoje zalety i wady. Wiadomo, że nie musiałem harować na kogoś, ale też odpowiadałem osobiście za wszystkie prowadzone sprawy. Igor przynajmniej pomagał mi je katalogować. Był aplikantem, kancelistą i sekretarką w jednym. Człowiek-orkiestra i pracownik-ideał, zwłaszcza dla tych, którzy nie

chcieli stawiać na pełne zatrudnienie. Czyli takich oportunistów jak ja. Jednak to był jeden z tych momentów, w których potrafiłem przeklinać jego obecność i paskudnie miękkie, dobre serce. *Jak taki mięczak chce być prawnikiem? Przecież go zjedzą... I jeszcze powiedzą, że to ja go nie nauczyłem zawodu.*

Zmierzyłem znudzonym wzrokiem stertę kolorowych kartek, a potem spojrzałem na Igora. Szczęnięcy wzrok nie zniknął, więc znów rzuciłem okiem na kartki. *Normalnie sterta makulatury.* Od kiedy podjąłem współpracę z urzędem miasta w Legnicy w ramach rządowego programu zapewniającego bezpłatne porady prawne dla ludności, byłem wprost zarzucany wszelkiego rodzaju zaproszeniami na konferencje, spotkania, eventy i szkolne jasełka. Miałem tego serdecznie dość. *Czy tym ludziom nie szkoda papieru?*

– Pytasz mnie, co masz zrobić? To, co zawsze się robi ze spamem – odpowiedziałem w końcu ze śmiechem. – Do kosza.

– Nie chce pan nawet przejrzeć? – Igor zmienił strategię i zrobił oczy jak kot ze „Shreka”. Gdyby nie te jego śmieszne okulary, które psuły cały efekt, nawet bym się wzruszył.

– Nie mam czasu, Igorze, przejrzyj je za mnie i jeśli uznasz jakies za warte zachodu, to daj znać. Mam teraz na głowie tę sprawę z rodzinną Żabickiego. Muszę wymyślić, jak z nich ściągnąć kasę. Nie mogę się rozpraszać.

Sam nie wierzyłem, że odpowiedziałem tak miętko, zamiast go zrugać. *To się jeszcze na mnie zemści, jestem pewien.* Igor pokiwał tylko głową i wziął się za wyciąganie zaproszeń z kopert, a potem przeglądanie ich. Pomyślałem jeszcze, że nie płacę mu za zabawę, ale ostatecznie machnąłem na to ręką. *Zbliża się tydzień dobroci dla zwierząt, niech ma* – pomyślałem z rozbawieniem. To był stary żart, jeszcze z czasów, kiedy sam byłem na aplikacji u takiego jednego starego

ch... no, radcy. Tak, nawet ja byłem kiedyś aplikantem. Na pewno nie takim żalonym jak Krawczyk, ale jednak. Wtedy mój los zależał od czyjegoś zdania i niejako pozostawałem na łasce szefa. *Teraz jest inaczej. To Igor ma słuchać mnie.* Mimo wszystko poczułem się nieswojo na wspomnienie tamtych czasów.

Szybko zapomniałem jednak o mojej niekomfortowej sytuacji z odległej przeszłości. Co innego mnie teraz zajmowało. Rok temu wpakowałem się w nieciekawą sprawę. Zwabiony niezłą kasą podpisałem umowę o współpracy z firmą Ryszarda Żabickiego, która miała ugruntowaną pozycję na rynku. Żabicki prowadził dużą drukarnię i cieszył się w naszej okolicy opinią świętego kontrahenta. Zawsze w terminie wywiązywał się ze zleceń i robił to z najwyższą starannością. Kiedy przyszedł do mojej kancelarii, pomyślałem nawet, że to dar od losu. Każdy chciałby mieć takiego klienta, tylko sprawdzać mu umowy i brać za to co miesiąc okrągłą sumę. Tak było.

Trzy miesiące temu okazało się, że Żabicki zniknął, ale wcześniej zdefraudował dużą, jak na lokalne warunki, sumę pieniędzy kontrahentów, bo ponad trzysta tysięcy złotych. Mnie też zalegał kilka tysięcy za trzy miesiące pracy, ale nie byłem pierwszym wierzycielem w kolejce. Szczęście w nieszczęściu, Żabicki zostawił w jednej z podlegnickich miejscowości dom o wartości pół miliona, z wyposażeniem, które można by spieniężyć. Czemu w nieszczęściu? Bo w domu zostawił żonę, która zarzekała się, że nie ma pojęcia, co się stało z jej mężem, i trójkę dzieci, w tym jedno niepełnosprawne. *Jak niefart, to niefart.*

Chłopiec Żabickich chyba miał autyzm. Przypomniałem sobie, że Ryszard kiedyś mi o nim opowiadał. To jeden z powodów, dla których jego żona nie pracowała. Drugi był prozaiczny. Po prostu mąż świetnie zarabiał i nie musiała martwić się o byt. Z opowieści

klienta wywnioskowałem, że miał szczęśliwą rodzinę mimo choroby syna. A jednak ich opuścił i zwiął z kasą, zostawiając żonę i dzieci na pastwę komornika. *Ojciec roku.*

To była najtrudniejsza sprawa, z jaką miałem dotąd do czynienia, bo niechcący zostałem zaangażowany w przekręt, który wymyślił Żabicki. Na wszystkich zawartych przez niego przez ostatni rok umowach widniał mój podpis i pieczętka radcy, co stawiało mnie w nie najkorzystniejszym świetle w oczach jego kontrahentów, nawet jeśli umowy były bez zarzutu pod względem prawnym (co potwierdzałem swoim podpisem właśnie). A oszustwo polegało na niezapłaceniu faktur dostawcom, pobraniu należności od klientów i ulotnieniu się z kasą.

Jakby się tak nad tym zastanowić, to nie miało sensu. Komu opłacało się uciekać w Polskę, a tym bardziej w Europę czy świat, z tak małą kwotą jak niecałe osiemdziesiąt tysięcy euro? Za to nie dało się zacząć nowego życia. Fakt jednak pozostawał niezaprzeczalny. Żabicki wypłacił kasę z konta osobiście (co potwierdził bankowy monitoring), wyszedł z budynku i ślad po nim zaginął. Co więcej, musiał to planować wcześniej, bo przecież nie można ot tak wybrać sobie z banku tak dużej kwoty w gotówce. Większe wypłaty trzeba po prostu wcześniej zgłaszać. To dowodziło, że działanie Żabickiego nie było spontaniczne i nieprzemyślane. Inna sprawa, czy działał pod presją, czy z własnej woli, ale to niech ustala policja.

Podobnie jak większość pokrzywdzonych skupiłem się raczej na sposobach odzyskania swoich pieniędzy. Naturalnym krokiem dla mnie jako prawnika było zgłoszenie roszczenia do sądu, żeby uzyskać tytuł wykonalności. Kontrahenci Żabickiego sami zgłaszali się do mnie, a ja zorganizowałem spotkanie i zaproponowałem im, że przygotowuję pozew zbiorowy. Wziąłem od nich za to po symboliczne sto

złotych oraz jeden procent od kwoty, którą uda się odzyskać. *Wiem. Zawsze miałem za miękkie serce.*

Policja oczywiście przyjęła zgłoszenie zaginięcia Żabickiego od jego żony oraz zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa wyłudzenia ode mnie, w imieniu moim i kontrahentów. To było dwa miesiące temu. Śledczy kazali wszystkim uzbroić się w cierpliwość. Na szczęście sąd był konkretniejszy i dość szybko wystawił tytuł egzekucyjny. *Cierpliwość to cnota, której nigdy nie posiadałem.*

Jakby się tak dobrze zastanowić, nie posiadałem żadnej. Mój ojciec zawsze powtarzał, że w zawodzie prawnika jedyną cnotą jest ich brak. On był pierwszym przedstawicielem rodziny w tej branży, z tym że wybrał jedną z najtrudniejszych specjalizacji – komorniczą. Moja starsza siostra była sędzią rodzinnym w sądzie rejonowym we Wrocławiu, ale niedługo miała awansować do sądu okręgowego. A ja zostałem radcą. Lubiłem swoją pracę, a poza tym dawała mi ona naprawdę niezłe pieniądze.

Tylko moja mama nie miała nic wspólnego z naszym zawodem. Od wielu lat z powodzeniem prowadziła sklep z zabawkami, który założyła, kiedy ja i Marta byliśmy jeszcze mali. Choć w dzisiejszych czasach ten biznes opłacał się coraz mniej – mama robiła to głównie dlatego, że lubiła to zajęcie i kontakt z małymi klientami. Od kilku lat piłowała też czachę mojej siostrze, że chciałyby już mieć wnuki.

Marta miała trzydzieści sześć lat i nawet była mężatką, ale robiła karierę i twierdziła, że na dzieci kiedyś przyjdzie czas. Ja uważałem, że to jej sprawa, ojciec też, ale mama nie odpuszczała swojej córce do tego stopnia, że Marta ograniczyła wizyty w domu rodziców do minimum. *Nic dziwnego.*

Do tej pory śmiałem się z tego, ale od niedawna zaczęły się też dziwne uwagi w moją stronę. Mama twierdziła, że trzydziestoczteroletni

kawaler to obraza majestatu. *Co???* Gdyby tak na to patrzeć, trzeba by skazać za obrazę majestatu połowę dzisiejszych trzydziestoparolatków. *Jak dobrze, że nie mamy w Polsce monarchii.*

Ja nie ograniczałem jednak wizyt w domu rodziców z prostego względu. Mieszkalem u nich. Było mi zbyt wygodnie, żeby szukać sobie własnego mieszkania, kogoś, kto by mi je ogarnął, ugotował coś i nie zadawał zbyt wielu pytań. Mama była najważniejszą kobietą w moim życiu. Jedyłą, którą naprawdę kochałem. Mogłem jej więc wybaczyć to marudzenie.

* * *

Tego dnia po pracy spotkałem się z moim kumplem Łukaszem, który od trzech lat był burmistrzem jednej z podlegnickich dziur, zupełnie bez powodu zwanych uroczo „małymi miasteczkami”. Bo uroczego nie było w nich nic. Łukasz jednak zdawał się lubić swoje zajęcie.

Ale dziś umówiliśmy się na kręgle.

– Wyglądasz na zmarnowanego, Mickey – powiedział już od wejścia. – Przecież dopiero minął poniedziałek. Znowu melanzowałeś cały weekend? – Spojrzał na mnie pobłaźliwie, włożył buty i wybrał dla nas tor. Dogoniłem go szybko.

– W życiu – zaprotekowałem. – Wiesz, że teraz muszę dbać o opinię, bo hieny dziennikarskie szukają na mnie haka po tej sprawie z Żabickim. A przecież mnie też oszukał.

– No to o co chodzi?

– Cały czas próbuję ugryźć tę rodzinę. Moim zdaniem jego żona musi coś wiedzieć, inaczej nie żyłaby sobie tak spokojnie. Mam na nich tytuł egzekucyjny. To musi boleć.

– Ale nie możesz wyrzucić na bruk kobiety z dziećmi w sezonie od października do końca marca – przypomniał mi, biorąc dużą kulę i ważąc ją w ręce.

Przecież wiem, że nie mogę.

– Ej, rozmawiasz z prawnikiem, brachu. I to jednym z najlepszych.

Łukasz zignorował moje przechwałki i rzucił kulą. Ładnie, ale i tak nie zbił wszystkich kręgli. Został mu jeden. Mój kumpel zaklął szpetnie, jednak rozejrzał się zaraz, czy w pomieszczeniu nie ma żadnych jego wyborców. A niby jak miałby ich rozpoznać? Po gębie? Rzucił drugi raz i tym razem zbił ostatniego kręgla.

– *Yes, yes, yes!* – Ucieszył się wymownie.

– Ten cytat jest już objęty prawem autorskim przez jednego polityka na szczeblu centralnym, a nawet europejskim – przypomniałem mu. Zachichotał. – Jesteś za cienki w uszach, Łukasz.

– Ja się dopiero rozkręcam – odgryzł się. – Ty mi lepiej powiedz, Mickey, jak chcesz odzyskać trzysta czterdzieści tysięcy plus koszty komornicze z domu, w którym mieszka matka z trójką dzieci. I to na terenie mojej gminy. Musisz wiedzieć, że będę pilnował tej sprawy.

– Mogę zlecić komornikowi spieniężenie wszystkich sprzętów domowych, które nie są niezbędne do egzystencji. A wierz mi, sporo tego mają.

– Co cię powstrzymuje?

– Nic. Jutro się za to zabiorę – odpowiedziałem, ciskając kulą w stronę kręgli. Zbiłem wszystkie. *Strike! Jest szansa na bonus!*

– Mickey Mouse, Mickey Mouse... – zaczął skandować Łukasz, wiedząc, jak mnie wkurzyć.

Nienawidziłem tej ksywki. Znało ją tylko kilka osób, z którymi kolegowałem się w dzieciństwie. Wszystko przez mamę, która czesała mnie tak, że eksponowała ząbek układający się z włosów na czole. Jak u Myszki Miki. A ponieważ nazywam się Michał Myszkowski... Sami rozumiecie.

Kiedy tylko zacząłem mieć jakikolwiek wpływ na swoją fryzurę, zapuściłem grzywkę i zaczesywałem ją na bok. Dzięki temu, że włosy były dłuższe, nikt nie widział już tego pieprzonego ząbka. Wiedział o nim Łukasz. Wiedziała też Matylda, nasza przyjaciółka z dzieciństwa. *Matylda... ile to już lat?*

Mati, młodsza od nas o trzy lata, zawsze była zbyt wysoka jak na swój wiek, nosiła krótkie włosy i ubierała się jak chłopak. Poznaliśmy się, kiedy zaczęła mnie i Łukasza, jak byliśmy na boisku. My mieliśmy wtedy może dwanaście lat, a ona dziewięć. Zajmowaliśmy się swoimi sprawami, gdy nagle ktoś zaczął w nas rzucać piaskiem i patykami; dzieciak o potarganych włosach i w zniszczonym ubraniu. Złapaliśmy gnojka, chcąc mu przetrzepać skórę, ale okazało się, że to dziewczyna i daliśmy sobie z tym spokój. Za to samo jakoś tak wyszło, że zaczęliśmy się razem bawić. Matylda miała najlepsze pomysły, ale żadnych przyjaciół poza nami. Byliśmy nierozłączni do końca naszej podstawówki, bo potem Mati wyjechała z Legnicy i poszła do gimnazjum w jakiejś dziurze, a ja zacząłem naukę w liceum z Łukaszem, zwanym przez nas... *Już wiem, jak mu dokuczyć!*

– Kuleczka! – powiedziałem z najśłodszy wrednym uśmiechem, na jaki mogłem się zdobyć. Łukasz zrobił się czerwony na twarzy.

– To był cios poniżej pasa, brachu! – zaprotestował.

Łukasz nie lubił, jak mu się wypominało, że był dość gruby w dzieciństwie. Ksywkę „Kuleczka” też wymyśliła mu Matylda, żeby nie było. Ta dziewczyna wywierała na nas ogromny i zgubny wpływ. Miała

szelmowskie pomysły, na które my byśmy nie wpadli. Namawiała nas do takich rzeczy, na które normalnie byśmy się nie odważyli. Wiele razy musieliśmy ją kryć i brać winę na siebie, bo Mati miała bardzo surowego ojca, który prał ją za każde przewinienie... nieraz przychodziła do szkoły albo na boisko z siniakami. Teraz jako dorosły facet i prawnik wiem, że ktoś powinien zareagować, ale wtedy byłem tylko dzieckiem. Nie mieściło mi się w głowie, że ojciec krzywdzi swoje dziecko.

Dzisiaj wysoki i wysportowany Łukasz z jasnymi kudłami i błękitnymi oczami był, jak to się mówi, ucieleśnieniem damskich pragnień, ale wtedy sprawa wyglądała zgoła inaczej. Jako nastolatek miał kompleksy. *Kuleczka...* Jako dorosły facet Łukasz mógł mieć kobiety na pęczki. Nawet ja się nie umywałem. On jednak dawał sobie jeszcze rok. Postanowił kiedyś, że kobietę swojego życia pozna najpóźniej w wieku trzydziestu pięciu lat. *Fantazję ma ułańską, jak na polityka przystało, trzeba mu przyznać.*

– Cóż, Kuleczko, czego się nie robi, żeby rozproszyć przeciwnika... – Puściłem oko do przyjaciela i rzuciłem znowu dziesiątkę. *Podwójny strike!*

– Nie wiem, po co ja w ogóle chodzę z tobą na kręgle – westchnął Łukasz.

– Bo masz w sobie coś z masochisty – odparłem. – Lubisz dostawać po dupie.

– Wybory jakoś wygrałem – zachnął się mój kumpel.

– Współobywatele się na tobie poznali. Jesteś łebski facet, nawet jeśli masz kompleksy jak stąd na Haiti, a przecież od dawna już nie przypominasz kuleczki.

– No, nie przypominam. – Łukasz potarł brodę ręką i zamyslił się. Chyba nawet wiedziałem, o kim. – Ciekawe, co się stało

z Matyldą? – westchnął wtedy znowu, jakby odczytując moje wcześniejsze myśli.

– Też bym chciał wiedzieć, ale nie widzieliśmy jej od prawie dwudziestu lat...

– Ale ten czas zapierdala.

– Za szybko. Dorosłe życie jest do bani! – zachnąłem się.

– I to mówi wielki pan mecenas? – zaśmiał się Łukasz.

– Tak, wielki panie burmistrzu. Mama każe mi szukać żony – zaśmiałem się.

– Co ona, litości dla kobiet nie ma? Żadna by z tobą nie wytrzymała – zarechotał Łukasz.

– Dobrze, że chociaż ty to zauważasz.

Kumpel znał mnie jak nikt.

– Dobrze, że dałeś się rozproszyć – zachichotał Łukasz, który właśnie wykonał świetny rzut i zdobył pierwszego strike'a.

– O ty szujo! Ty się nazywasz przyjacielem? – Udałem oburzenie, po czym zacząłem wydawać z siebie głupie dźwięki.

Wiedziałem, że tego nie znosił. Skusił od razu. W następnej kolejce zaliczył tylko połowę kręgli. Skorzystałem z okazji i rzuciłem kolejnego strike'a.

Nie wiem, o której wróciłem do domu, ale te kilka godzin w towarzystwie Łukasza dobrze mi zrobiło. Taki emocjonalny reset po dziwnym początku tygodnia. *Dobrze mieć przyjaciela*. Byłem pewien, że w każdej sytuacji Łukasz stanie po mojej stronie. A ja bym stanął po jego. Byliśmy drużyną pewniaków. Od zawsze i na zawsze.

wtorek, 26 listopada

– Szeffie, nie wyrzuciłem tego zaproszenia – stwierdził Igor z samego rana, podając mi jakąś kolorową kartkę.

– Jak to? – zdziwiłem się. *Nie wykonał mojego polecenia?!*

– Bo widać, że jest ręcznie wykonane. Pewnie przez jakieś dziecko. Niech pan zobaczy – zachęcił mnie.

– Jezu, Igor, ty chyba chcesz mnie wykończyć – jęknąłem. – Po co mi jakieś durne zaproszenie?

– Niech pan zerknie – nalegał mój aplikant.

Nigdy nie był tak uparty i nigdy wcześniej nie podważał mojego zdania. *Wyrabia się czy co?*

– Dobra, ale zaraz potem je wrzucisz do niszcarki – zarządziłem.

– Okej. – Igor uniósł dłonie w geście kapitulacji, ale zostawił mi to kolorowe coś na biurku i wyszedł z mojego gabinetu.

Zająłem się pracą i dopiero po południu znowu zwróciłem uwagę na ten świstek. Już miałem go cisnąć do kosza, kiedy mój wzrok przyciągnął jeden symbol. Trzy małe litery „i” obok siebie, „iii” w prawym dolnym rogu kartki. Otworzyłem zaproszenie i przeczytałem treść ze zdziwieniem. „Stowarzyszenie Przyjaciół Dzieci z Autyzmem i Ich Rodzin zaprasza serdecznie na spotkanie mikołajkowe, które odbędzie się 6 grudnia 2019 roku o godzinie 10:00 w siedzibie Stowarzyszenia w Jaworowie. Jeśli życzą sobie Państwo zaangażować się w organizację paczek mikołajkowych dla dzieci, proszę o kontakt pod numerem 662-266-878. Prezes Stowarzyszenia...”. Podpis był nieczytelny. *I po co mi Igor znosi te śmieci?* – wkurzyłem się tylko. Wrzuciłem niebieską karteczkę z wyklejanym Mikołajem do kosza. *Kto w ogóle robi niebieskie kartki mikołajkowe?*

Wyłączyłem komputer, poinformowałem Igora, że muszę odwiedzić komornika i już nie wrócę, a potem wyszedłem. W sprawie Żabickiego nie mogłem udać się do kancelarii mojego ojca, bo sprawa musiała być czysta i nie nosić żadnych znamion nepotyzmu. Ojciec polecił mi swoją koleżankę po fachu Elizę Słodkowską, kobietę w jego wieku. Cieszyłem się, że będę współpracował z doświadczonym komornikiem, ale pani Eliza chyba pomyliła stulecia, bo potraktowała mnie trochę protekcyjnie.

– Michałku, oczywiście, że ci pomogę – odpowiedziała najśłodszym głosem, kiedy wyłuszczyłem jej sprawę. – Jesteś taki podobny do taty, kiedy był młody. No, cały Mirek. – Spojrzała na mnie z rozczuleniem.

Jeszcze brakuje tylko, żeby mnie pogłaskała po głowie – pomyślałem zniesmaczony.

– Dziękuję – odpowiedziałem jednak uprzejmie. To taka praca. *Jesteś uprzejmy, bo musisz, nawet jak czasem bardzo nie chcesz. Reszta procesu dzieje się w środku.*

Umówiliśmy się na następny czwartek, piątego grudnia, na dziesiątą w jej kancelarii. Wyszedłem z biura przyjaciółki mojego ojca usatysfakcjonowany. Miałem szansę trochę popchnąć do przodu tę sprawę, żeby oszukani kontrahenci i współpracownicy Żabickiego, w tym ja, otrzymali zwrot choć części swoich pieniędzy przed świętami.

Wróciłem do domu akurat na obiad. Mama właśnie stawiała na stole pachnącą zupę pomidorową, którą uwielbiałem i mogłem spożywać w każdej postaci i ilości. Podobno w dzieciństwie nie chciałem jeść nic innego. *Nie obejdzie się bez dokładki.* Już byłem pewien, że pozostanie z rodzicami było dobrą decyzją. Dla mnie nieważne, czy pomidorówka była z całymi warzywami, czy zmiksowana do postaci

zupy kremu, czy była łagodna, klasyczna, czy pikantna, a najbardziej lubiłem aromat bazylii. I dziś właśnie mama zrobiła pomidorowy krem z listkiem bazylii, chyba specjalnie dla mnie. *Jak tu jej nie kochać?*

– Mamo, coś wspaniałego – powiedziałem, kiedy zanurzyłem łyżkę w gęstej zupie, a potem łapczywie ją oblizałem. Nigdy do końca nie pozbyłem się tego gestu, choć w miejscach publicznych bardzo się pilnowałem. *Boski smak.*

– Cieszę się. Smacznego, synku – odpowiedziała z radością, uśmiechając się promiennie.

Moja mama była tak serdeczną i dobrą osobą, że czasem zastanawiałem się, jak mogła wyjść za męża za mojego ojca i urodzić mu dwójkę dzieci takich samych jak on. Wiedziałem, że ona, w tajemnicy przed ojcem, co roku oddawała zabawki ze swojego sklepu dla podopiecznych z domu dziecka. Nigdy nie wydałem mamy przed tatą, ale nie do końca rozumiałem jej postępowanie. Przecież to pewnie właśnie dlatego sklepik nie przynosił prawie w ogóle zysków. Mamie ledwo starczało na pensję dla pracownicy, ale uparcie prowadziła ten sklep i zatrudniała tę samą kobietę od wielu lat, choć równie dobrze obie mogły już przejść na emeryturę.

Ojcu było wszystko jedno, o ile miał mamę z głowy. Skoro dzięki sklepowi była zajęta i zadowolona, machał ręką na jego nierentowność. Cieszył się tylko, że nie musiał dokładać do jej interesu. Patrząc na rodzaj relacji, jaki łączył moich rodziców, nie miałem ochoty na powtarzanie schematu. *Na co mi żona? Żeby się chwalić przed kolegami rodziną jak ojciec? Przecież ja nawet nie mam kolegów poza Łukaszem.* Wcale nie chciałem się żenić, a już tym bardziej multiplikować egoistycznych genów Myszkowskich. Prawdopodobieństwo

powołania na świat kogoś podobnego do mojego starego skutecznie zniechęcało mnie do rodzicielstwa.

Ale nie tylko brak względów praktycznych przemawiał za tą decyzją. Nie spotkałem dotąd kobiety, dla której byłoby warto zmienić stan cywilny. Takiej, która by mnie akceptowała, a przy tym powodowała, że zawsze bym chciał wracać do domu, tylko do niej.

Czy miałem swój ideał? A kto go nie ma? Wyobrażałem sobie potencjalną kandydatkę na tę jedyną jako piękną i dobrą blondynkę, taką jak moja mama. *I koniecznie musiałyby się nauczyć gotować dla mnie pomidorową.* Ale na tym podobieństwa do mojej rodzicielki miały się kończyć. Moja wybranka musiała być kobietą tak seksowną, żebym nie chciał oglądać się na inne. Poza tym Łukasz miał rację. Chętnych może i by nie brakowało, ale która by ze mną wytrzymała? Widząc względnie udane małżeństwo moich rodziców, wołałem być wiecznym singlem. Co innego niezobowiązujące spotkania...

Wieczorne wyobrażenia o kobiecie moich marzeń nie wyszły mi jednak na dobre. Trudne do powstrzymania napięcie nie pozwalało myśleć sensownie. Nie lubiłem tego stanu niezaspokojenia. Wybrałem więc numer Aśki.

Joanna była w moim wieku. Studiowaliśmy razem i kolegowaliśmy się, potem ona wybrała specjalizację komorniczą. Załatwiłem jej aplikację u mojego ojca i to nas do siebie zbliżyło na tyle, że zostaliśmy „przyjaciółmi do łóżka”. Znając życie, Aśka miała takie relacje z połową kancelarii mojego starego, ale to nie była moja sprawa. Łączył nas układ, który zadowalał oboje. Dobry seks, trochę spędzonego wspólnie czasu i... robiliśmy sobie nawzajem za przykrywkę przed rodzinami. Joaśka też nie zamierzała wychodzić za mąż ani rodzić dzieci. Twierdziła, że to jej zaszkodzi na figurę, a ja mogłem tylko przyklasnąć, bo figurę miała rzeczywiście fantastyczną.

Aśka nie odebrała, ale po chwili wysłała mi SMS-a:

ODDZWONIE, KOTKU :-*.

Aha, czyli jeszcze jest w pracy – pomyślałem i sfrustrowany zacząłem rozważać inne formy rozładowania napięcia. *Nota bene*, nienawidziłem być nazywany „kotkiem” i Joaśka doskonale o tym wiedziała. Znacząco celowo mnie prowokowała, żebym potem zerznął jej tyłek na ostro. *Kurwa, pomyśl o czymś innym, idioto!* – skarciłem się w myślach, czując ból w podbrzuszu z powodu tego napięcia.

Już miałem iść do baru i wyrwać kogokolwiek, kiedy koleżanka oddzwoniła.

– Misiaczkule, co tam? – spytała. „Misiaczkule” też nienawidziłem. Chyba jeszcze bardziej niż wszystkich innych milusich zwierzątek, bo jakoś nawiązywał do mojego imienia.

– Nie wkurzaj mnie, Aśka. Wpadnę dziś po ciebie, pójdziemy na kolację, okej?

– Jestem na diecie – odpowiedziała, choć było słychać, że mówiła to z pełną buzią.

Jasne. Chętnie bym ją inaczej wypełnił. – Wyobrażnia podsunęła mi od razu alternatywny sposób nakarmienia jej.

– No to ja będę jadł, a ty popatrzysz – zażartowałem sobie.

– Wal się. Sałatka może być. O której po mnie przyjedziesz?

Jak zgłodniejesz – pomyślałem złośliwie, ale nie mogłem tego powiedzieć, nie tracąc przy tym okazji na wieczorne bzykanko.

– Osiemnasta trzydzieści pasuje?

– Jesteśmy umówieni. Kotku. – Aśka się rozłączyła, zanim zdążyłem zareagować. Ale cel osiągnąłem. Mogłem już odliczać czas do spełnienia swoich palących żądz.